

* * *

KOWAL bardzo dbał o swój warsztat pracy. W wyniku walki z przestępcami pomieszczenie zostało zdemolowane. Mężczyzna pozornie wyciszony, w rzeczywistości, bez przerwy był pod wpływem stresu. Mimo to, zmusił się do działania i zdołał doprowadzić kuźnię do stanu używalności. Umył ściany, wyremontował podłogę, powtórnie skręcając stalowymi śrubami powyrywane z mocujących je belek, dwucalowe deski. Poukładał narzędzia na właściwych miejscach. Oddzielił pracę od bólu, który wypełniał jego duszę.

Przeczuwał bliski koniec. Sądził, że to los pozwolił mu na odnalezienie ostatniego z oprawców. Teraz musi za to zapłacić.

Był w wielkim błędzie. Człowiek ten żył prosto i zgodnie z naturą, wobec czego intuicja wskazała mu, gdzie szukać bandyty. Czy w zamian za to miał oddać życie? Tego rodzaju modlitwa nie mogła być wysłuchana. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaprosił fatum do swojego życia. Zgubił go brak pokory. Gdyby nie zabójstwo, którego się dopuścił, można by powiedzieć, że był uczciwym człowiekiem. Nigdy nikomu nie wchodził w drogę. Akceptował innych takimi, jakimi byli. Nie buntował się też wobec Opatrzności. Śmierć ukochanej była tragedią. Cierpiał, lecz był na tyle silny, że gdyby zechciał, mógłby z tym żyć. Niestety, nie odkrył w sobie ziarna nadziei.

Prosił o możliwość osobistego wymierzenia przestępcy kary. Zdawał sobie sprawę, że wystąpi przeciw przykazaniu. Obiecał przy tym sprawę załatwić honorowo. Wmawiał sobie, że prośba nie jest podyktowana chęcią zemsty. Odwet, opatrzenie określał jako zadośćuczynienie. Nie potrafił przed tym uciec.

„Jeżeli pozwolę bandycie, aby bezkarnie chodził po Ziemi, oszaleję. Nie zniosę tej myśli. Każdy dzień będzie dla mnie kolejnym przeżywaniem dramatu. Ileż razy można patrzeć na umieranie Leny? Zgubię do końca swoją duszę. Przy okazji pogrążę wielu innych. Muszę doprowadzić do końca to, co jest moim obowiązkiem. Za nieposłuszeństwo odpokutuję, przyjmując należną mi karę. Po tym odnajdę ukochaną, która – wierzę w to głęboko – czeka na mnie gdzieś w lepszym świecie.”

Jedynym znakiem, który docierał z drugiej strony czasu było milczenie. Nie zwracał na to uwagi. Nie zatrzymał się ani na chwilę, by wsłuchać się w ciszę. Niestrudzenie kontynuował poszukiwania. Kiedy spotkał człowieka z pozostałą po oparzeniu blizną na nodze, uwierzył, że dobił targu.

Maszynisty nie uśmiercił od razu. Do lokomotywy wskoczył spokojny. Z żadnego krwi zwierzęcia, przeistoczył się w zdystansowanego do niedawnych wydarzeń człowieka. Bardzo chciał zadośćuczynienia, ale już nie za wszelką cenę. Przestał kierować się gniewem, wobec czego, nie potrafiłby ot tak, zabrać życia. Pomimo że ,winowajca był katem najukochańszej żony. Pojawiła się szansa na zachowanie jednego, marnego istnienia. Operator pociągu powinien żałować tego, czego dopuścił się w imię chęci zysku. Gdyby zabójca okazał skrucę, przypuszczalnie oddałby go w ręce milicjanta (który miałby z tym kłopot nie lada). Bandyta podjął próbę walki. Uderzając kowalą łopatą do węgla kłął, wyzywając także zakatowaną przez siebie kobietę. Nie dał wyboru. Nowa postawa, jaką przyjął potężny rzemieślnik, przysła jak mydlana bańka.

Ostatecznie, pozbawienie życia przestępcy nie pozostawiło na sumieniu siłacza najmniejszego śladu. Zbrodniarz znalazł się w piecu, gdzie temperatura palącego się

węgla stopiła tłuszcz i spaliła tkanki. Trochę smrodu i żadnych uczuć. Zadanie zostało wykonane i powrócił spokój. Obowiązek pracy rozkazał powrót do kuźni. Pierwszą rzeczą, którą zrobił, był krzyż. Wykuty z czterech prętów miał przypominać o żalu. Prosty i piękny zarazem. Autor dzieła nie czuł się jednak artystą...

Z każdą mijającą godziną nabierał coraz większej pewności, że wkrótce zapłaci wcześniej wynegocjowaną cenę. Rachunek opiewał na jedno życie. Nie zamierzał uniknąć konsekwencji. Akceptacja nie ułatwiała działania tym, którzy starali się kierować jego losem.

Pomimo zbrodni, których się dopuścił, strzałka wagi nie wskazywała jednoznacznie potępienia. Po spłaceniu zaciągniętego długu mógł mieć nadzieję na spotkanie z Leną. Szczęściarz...

* * *

KONSTANTY całe dni spędzał w kuźni. Pracując z zapalem, nauczał Iwana arkanów zawodu Hefajstosa. Czuł wewnętrzną potrzebę, aby pochwalić się przed kimś swoimi umiejętnościami. Być obiektem podziwu.

Iwan w tym czasie rozpalał palenisko, dmuchał w miechy i rozgrzewał stalowe pręty do białości. Podobało mu się to zajęcie. Zachowywał się jak mały, bawiący się nowymi zabawkami, chłopiec.

Konstanty ze względu na natłok porannych obowiązków, codzienną mszę przeniósł na wieczór. W niedzielę głosił również kazanie kilku opatulonym w kwieciste chustki dewotkom. Był prawie pewny, że nie pojmują, co do nich mówi. Na kolejne wystąpienia złośliwie przygotowywał nauki o coraz większym stopniu trudności. Nieświadomie wyzywał się na prostych staruszkach. Lecz one, nieobecne duchem i tak tego nie zauważały.

W trzecią niedzielę adwentu opowiedział historię o kowalu i jego losie. Morał był zaskakujący. Także i tym razem babiny nie zareagowały. Był na nie zły. Obserwując bierność autochtonek, zdecydował, że w najbliższą sobotę zejdą wraz z Iwanem do karczmy, aby na święta zyskać wiernych.

* * *

AMERYKANIN stwierdził, że jest mu wszystko jedno. Trudno bowiem zdecydować, co łatwiej jest znieść: kilka godzin na trzeźwo wśród pijanych tubylców, czy też męczarnię dnia następnego, kiedy organizm nie może poradzić sobie z utylizacją trucizn powstałych w wyniku metabolizmu dużej dawki alkoholu.

Knajpa, zwana oficjalnie „gospodą”, mieściła się w dużym, drewnianym budynku na środku osady. Nad drzwiami wisiał namalowany olejną farbą na kawałku blachy szyld, mówiący o dobrym jedzeniu i spokojnym spaniu. Hotel stanowiły dwa małe pokoje na poddaszu, które zawsze świeciły pustkami. Przepisy jednakże nakazywały ich utrzymywanie.

W sobotnie popołudnie amatorów piwnych biesiad było wielu. Gwar rozmów wypełniał całe pomieszczenie. Można było odnieść wrażenie, że w sali nie ma ani jednego centymetra sześciennego wolnej przestrzeni.

Proboszcz stanął obok baru i przekrzykując biesiadujących poinformował, że tego wieczora zapłaci za wódkę i zakąski dla wszystkich obecnych w gospodzie.

Szybko ustawiono jeden duży stół, przy którym zasiedli pracownicy tartaku. Właściciel szynku przyniósł skrzynkę wódki, kiszone ogórki, salceson, kaszanekę, jajka na twardo i tłustą kielbasę. Pojawił się też napój bezalkoholowy – produkowana lokalnie „lemoniada”,

która z napojem z cytryn niewiele miała wspólnego. Była to gazowana woda z dodatkiem kwasu cytrynowego, cukru oraz barwnika spożywczego. Występowała w trzech kolorach: czerwonym, żółtym i zielonym. Nikt nie wiedział, dlaczego największe powodzenie miała czerwona.

Siedzący naprzeciwko obcokrajowca autochton, pokazując w szerokim uśmiechu poźółkłe, zniszczone próchnicą zęby, zapytał:

— Ty też jesteś księdzem?

— To mój brat Iwan – wyjaśnił Konstanty głośno, aby wszyscy go słyszeli. Zaraz dodał – przyjechał tu z Petersburga.

— Petersburg to wielkie miasto – pokręcił głową miejscowy. – Tam pewnie nie pije się tyle, co u nas. I nie jest tak zimno.

— Niektórzy piją dużo, inni mniej – odrzekł Iwan. – Ja nie jestem przyzwyczajony do dużych ilości wódki.

— Dam ci dobrą radę – wyszczerzone zęby zdawały się potwierdzać szczerą intencję. – Każdą porcję trunku zapij zaraz dużą ilością lemoniady. Na drugi dzień nie będziesz miał bólu głowy.

Chciał kontynuować swój wywód, lecz duchowny gestem zarządził ciszę. Kiedy gwar rozmów uspokoił się, rozpoczął wznoszenie toastów. Były to krótkie, kilkudzaniowe wypowiedzi kończone wychyleniem do dna musztardówki w jednej trzeciej wypełnionej wódką. Po zakąszeniu, zanim jeszcze ktokolwiek zdążył się odezwać, bezzwłocznie rozpoczynał kolejną przemowę. Pili kolejno, za zdrowie i powodzenie, za rodziny, za pracę i pieniądze, za to, by żony były wyrozumiałe i za dzieci, za zwierzęta, które chowali, za urodzaj kartofli, a na koniec za Święta Bożego Narodzenia.

Po siedmiu kolejkach skrzynka z wódką była opróżniona. Gospodarz spotkania policzył biesiadników i do-

mówił jeszcze po pół butelki dla każdego. Należało zwolnić tempo i zacząć jeść.

„Panujesz nad sytuacją. Nie było to trudne. Jesteś dobrym psychologiem. Za stołem siedzi kilkudziesięciu mężczyzn. Kontrolujesz ich. Nie dlatego, że są pod wpływem alkoholu, ale ze względu na metodę, którą zastosowałeś. Zaprosisz ich na pasterkę i przyjdą ze swoimi rodzinami. Zapełnią kościół, a ty przygotujesz wspaniałą mszę.

Masz pozytywny wpływ na wielu ludzi. Także obcy pod twoją opieką robi postępy i pogłębia swoje umiejętności. Kucie stali to trudna sztuka. On ma talent. Niebawem będzie z niego dobry kowal. Ty musisz zająć się swoimi sprawami. Z niego zaś zrób wielkiego rzemieślnika. To jedyna droga, aby uniknąć nieszczęścia.

Dzień, w którym u Iwana pojawi się wola działania, jest blisko. Jeśli nie spożytkuje jej właściwie, nadejdzie dekada niepowodzeń. Po raz kolejny przypominam, że to ty jesteś odpowiedzialny za przyszłość tego miejsca”.

Potrząsnął głową. Gdyby mówił sam do siebie, wyglądałoby to inaczej. Głos powrócił. Ponownie nawiązał do przybysza, do kuźni i do spoczywającego na nim obowiązku. Miał wskazać niedawnemu obywatelowi Stanów Zjednoczonych wybraną dla niego drogę i zostać jego przewodnikiem. Najchętniej uciekłby od odpowiedzialności. Zastanawiał się, dlaczego to właśnie on, prosty duszpasterz, ma zadbać o dobre jutro osady? Czyżby nie było nikogo innego?

Westchnął. W gruncie rzeczy Iwan może zostać kowalem. To dobry pomysł. Wówczas on sam będzie miał więcej czasu na zajmowanie się kościołem. Może w końcu uda się także posprzątać zakrystię?

Zebrani w gospodzie oczekiwali na przemówienie. Było to tradycją. Jeśli ktoś zaprasza do wspólnego biesia-

dowania, to płaci za poczęstunek, ale także wznosi toasty oraz wygłasza mowę. Konstanty wstał i wznosząc szklaniczkę wypełnioną wódką, zaczął mówić:

— Na dobrą sprawę znacie powód mojego przybycia do was. Jak co roku o tej porze szykujemy się do Świąt Bożego Narodzenia. Chciałbym wszystkich zebranych zaprosić na mszę, którą odprawię o północy dwudziestego czwartego grudnia. Przyjdźcie z rodzinami i znajomymi. Przynieście nowo narodzonemu dary w postaci uczestnictwa w ceremonii. To ważniejsze od prezentów. Da to wam spokój duszy i powodzenie w nadchodzącym roku.

— Zawsze przed świętami przybywasz do nas – usłyszał głos z sali.

Ktoś inny dodał:

— I nigdy nie pozostawiliśmy cię samego. Przybędziemy i tym razem w odwiedziny do kościoła.

— Do Pana Jezusa – poprawił duchowny.

— Do żłóbka.

— Na mszę.

— Nazywa się pasterką.

— A my będziemy pasterzami. I przyprowadzimy nasze pociechy, aby pokazać im dzieciątko.

— Będziemy się razem modlić.

— Bo Święta Bożego Narodzenia są tylko raz w roku.

— Niech żyje ksiądz – krzyknął jeden z biesiadników.

— Niech żyje ksiądz – podchwycili pozostali, po czym wypili za jego zdrowie.

Przyszedł czas na pieśni, lecz zanim melodyjne głosy utworzyły chór, Konstanty gestem rozpostartej dłoni zaznaczył, że chciałby jeszcze coś powiedzieć. Gdy zaległa cisza, rzekł:

— Wszyscy dobrze wiecie, jak ważny dla nas wszystkich jest kowal.

Pokiwali głowami.

— Pragnę wam powiedzieć, że Iwan zgodził się zostać u nas na dłużej. Zanim nie przyślą nam kogoś innego, będzie podkuwał konie i robił potrzebne do waszej pracy narzędzia.

W pomieszczeniu rozległy się gromkie brawa. Wzniesiono zdrowie Iwana. Ten chciał zdementować oświadczenie klechy, ale nie był w stanie nawet wstać ze swojego miejsca. Z ust wydobył tylko bełkot, na co zareagował siedzący naprzeciw niego tubylec:

— Pamiętaj, każdą porcję trunku zapij zaraz dużą ilością lemoniady.

W odpowiedzi zobaczył wyraz bezradności na zaczerwienionej twarzy.

Droga powrotna nie należała do najłatwiejszych. Amerykanin ciągle się przewracał. Przy każdym upadku głośno przeklinał po rosyjsku. Szczególnie, gdy po tym przez dłuższy czas nie mógł się podnieść. Proboszcz nie pomagał mu. Minęła blisko godzina nadludzkiego wysiłku, gdy w końcu osiągnął cel. Plebania dawała poczucie bezpieczeństwa. Mógł rzucić się na łóżko bez obawy o mróz. Zasnął w waciaku i filcowych walonkach na nogach.

Kiedy ustąpił kac, pojawiło się uczucie wstydu i silna potrzeba, aby wyrzucić z siebie zakłopotanie. Jedyną osobą, która mogła stać się jego powiernikiem, był ksiądz. Nie spodziewał się, że usłyszy naukę, zupełnie różną od tego, co sam o sobie myślał.

— Zastanów się, dlaczego zależy ci na opinii, którą inni ludzie mają o tobie? Tworzą ją na podstawie obserwacji, a także w wyniku wymiany zdań. Jeśli ich racje są słuszne, nie pozostaje ci nic innego, jak zaakceptowanie takiego stanu rzeczy. Możesz też postarać się to zmienić. Ocena obywatela Petersburga, która powstała wczoraj nie wydaje się być ostateczna.

- Ja taki nie jestem.
- Byłeś. Wiele osób widziało twoje chamskie zachowanie. Spiłeś się bez umiaru i kłąłeś jak szewc.
- Przyznajesz zatem, że ich krytyka jest uzasadniona?
- Słuszna, ale mało istotna. Jeszcze nie znają cię dość dobrze, aby mieć wyrobione zdanie na temat „obcego”. Musisz teraz pokazać, na co cię stać.
- Co mam zrobić?
- Zapomnieć o wczorajszym dniu i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Przede wszystkim zaś solidnie przyłożyć się do obowiązków w kuźni. Pomagać ludziom. W ten sposób zdobędziesz szacunek i poważanie.
- Niedługo planuję opuścić te strony.
- Zaraz po Świętach zabierzemy się za remont awionetki, ale najpierw pomożesz przygotować mi pasterkę.
- Wierni przyjdą do kościoła?
- Przyjdą obywatele zamieszkujący tę dolinę szarości i marazmu. To nie są wierni.
- Jaki pasterz taka trzoda.
- Masz rację. To mnie przerasta. Oni nie czują potrzeby, aby być katolikami, a nawet chrześcijanami. Do świątyni przybywają na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i na Boże Ciało. Za każdym razem zwabiam ich tu. Załatwiam to. Chodzę do gospody i stawiam kolację. Przychodzą, bo czują się wobec mnie zobowiązani. Kupuję ich na dwie godziny trzy razy w roku. Zapraszam wszystkich na niedzielne msze, lecz bez rezultatu. To nie ma sensu. Po każdym uroczystościach obiecuję sobie, że nigdy więcej tego nie zrobię. Odprawię pasterkę, Rezurekcję, czy pójdę na procesję w towarzystwie kilku starych babek, do których już nic nie dociera. Niestety, później łamię się i idę do knajpy. Boję się opuszczenia. Cała ta sytuacja, krok po kroku, doprowadza mnie do szaleństwa. Trzyma mnie tu dana Bogu przysięga, ale boję się, że kiedyś załamię się na dobre.

— Próbowalesz pracy u podstaw? Zmieszania się z nimi i głoszenia prawd wiary tam, gdzie pracują i żyją?

— Próbowalem wielu różnych sposobów. Odwiedzałem parafian w ich domach, pracowałem w tartaku. Codziennie schodziłem do osady i rozmawiałem z napotkanymi ludźmi, ale nic z tego nie wyszło.

— To niewiarygodne.

— Jeszcze kilkanaście lat temu panowała tu epoka realizmu socjalistycznego. Przez innych epoka ta trochę błędnie nazywana jest komunizmem. W tym okresie wiele rzeczy było zabronionych. Nie wszystkie oficjalnie, ale tak, czy inaczej, zakazane. Już od rewolucji październikowej tępiono wiarę. Początkowo jako siedlisko wrogów przemian ustrojowych, później jako konkurencyjną dla komunistycznej ideologii. Jeśli ktoś chodził do kościoła, w praktyce pozbawiał się szans na normalne życie. Tracił pracę, interesowała się nim bezpieka. Nie miał przyjaciół ani znajomych. Niewielu decydowało się na bycie czarną owcą.

— To rozumiałeś, że po kilkudziesięciu latach reżimu, parafia straciła wyznawców. Ale mamy inne czasy. Trudno uwierzyć, że nie udało ci się nikogo przekonać.

— To moja wewnętrzna rozterka. Coraz częściej wy daje mi się, że robię jakieś błędy. Tylko nie wiem jakie.

— A może obywatele tego sioła nie zdają sobie sprawy z faktu, że nastąpiły zmiany ustrojowe? Nadal obawiają się władzy i żyją jak dawniej?

— A może to ja nie jestem dość dobrym kandydatem na szerzenie wiary? Pewnie dlatego też nie mogę posprzątać w zakrystii – Konstanty ze złością uderzył ręką w stół.

— Co ma piernik do wiatraka?

— To wskazówka. Ktoś chce mi powiedzieć, że jako duchowy pasterz jestem do niczego.

— Nie przesadzasz?

— Przez lata odpychałem tą myśl od siebie. Ciągłe czekam na cud. Niekiedy wydaje mi się, że przyjdzie taka godzina, w której nie wytrzymam i rzuczę to wszystko.

— Musisz mieć na to zgodę biskupa.

— Owszem, napiszę podanie o rozwiązanie umowy za porozumieniem stron – syknął złośliwie.

— Zdezerterujesz?

— Nie pytaj mnie już o nic. Nie potrafię przewidzieć, co zrobię. A może to tylko moje czcze gadanie, by złagodzić powracające raz po raz wątpliwości?

* * *

KONSTANTY był usatysfakcjonowany. Podczas pasterki kościół wprost pękał w szwach. Przybyła większość robotników z rodzinami. Dość spora grupa osób uczestniczyła także we mszy niedzielnej. Dla każdego wiernego przygotował bożonarodzeniowy podarek: bochenek chleba i pęto kiełbasy. Dodatkowo dla dzieci były cukierki i czekoladki. Na prezenty przeznaczył pieniądze, które pozostały po zapłaceniu rachunku w gospodzie. Wydał całą pensję zarobioną przy wyrębie lasu. Zapracowane przez Jankeśa ruble pozostawił jako żelazny zapas na rzecz parafii.

W drugim dniu świąt z Iwanem zaczęło dziać się coś dziwnego. Zaraz po obiedzie zaczął mówić od rzeczy, mieszając przy tym słowa angielskie z rosyjskimi. Ksiądz nie rozumiał sensu tego, co słyszał. Cudzoziemiec przestał być komunikatywny. Wkrótce temperatura ciała chorego przekroczyła czterdzieści stopni Celsjusza. Majaczenie nasiliło się. Został położony na piecu i okryty kożuchem. Sok z malin zmieszany z wódką, a na dodatek tabletki znalezionej w samolotowej apteczce aspiryny, zadziałały. Spociał się obficie, po czym uspokoił. Wyglądało na to, że zasnął.